

Oplatek pocztową uiszczono ryczałtem.

Rok XV (XVI)

Styczeń—Marzec 1934 r.

№ 2.



===== ORGAN SAMORZĄDU MŁODZIEŻY POLSKIEJ =====
GIMNAZJUM im. WŁADYSŁAWA SYROKOMLI W NIEŚWIEŻU.

===== LABOREM NOSTRUM PATRIAE. =====

TREŚĆ NUMERU:

- 1) Jak należy rozumieć słowa wypisane na naszym sztandarze szkolnym —
Paweł Tarnawa-Malkiewicz.
- 2) Człowiek a praca.
- 3) Stanowisko kobiety wobec alkoholizmu —
J. Rybińska kl. VII.
- 4) Nawrócenie — Wa-Wo.
- 5) Wspomnienie — Wa-Wo.
- 6) Erechtejon — Stefan Hul.
- 7) Samotny grób żołnierza—Irena Dylewska.
- 8) Znasz życia cel — S. Kolesiński.
- 9) Wieczór na stepie — S. Kolesiński.
- 10) Do albumu koleżanki.
- 11) Nowy bigos literacki — A. B.
- 12) Recenzje — Stefan Hul.
- 13) Coś... z kroniki — S. 220.



32452
149456

„PROMIEN”

ORGAN SAMORZĄDU MŁODZIEŻY POLSKIEJ
GIMNAZJUM im. WŁADYSŁAWA SYROKOMLI W NIEŚWIEŻU.

LABOREM NOSTRUM PATRIAE.

JAK NALEŻY ROZUMIEĆ SŁOWA WYPISANE NA NASZYM SZTANDARZE SZKOLNYM:

„Patrz daleko, czuj głęboko,
Młoda duszę wznos wysoko
I za celem goń!”

Od zarania dziejów, od czasów najdawniejszych wszystkie narody i pokolenia głosiły najrozmaitsze hasła, które ich zdaniem, miały wykazać istotny sens życia, wskazać cel tego życia i jego potrzebę. Wszystkie te hasła, rzucające przez ludzi najrozmaitszych epok, miały jeden cel: szczęście człowieka.

Szczęście chce nam dać filozofja przez rozwiązanie zagadki wszechbytu, która nas wszystkich dręczy, szczęście chce nam dać literatura i sztuka.

Filozofja jednak nie ma tego wpływu na życie, co literatura.

Filozofja bowiem bardzo często gardzi zdrowym rozumem, nazywając go za Kantem: myśleniem gminnym, a rozumowania swe opiera na specjalnych kanonach filozoficznych, które dla szerszego ogółu nie są dostępne. Przez to właśnie ma mniejszy wpływ na życie niż literatura czy sztuka. Literatura bowiem przedstawia nam życie często takim, jakim ono jest istotnie bez specjalnych głębszych wywodów i przez

to właśnie ma ona na życie, wpływ większy niż filozofja.

Nasi pisarze i wieszczowie rzucają bardzo wiele mądrych hasel. Powiedzieć to można nie tylko o pisarzach czółowych, ale i o mniejszych, mniej ogólnie znanych poetach.

Jeden z nich mówi:

„Patrz daleko, czuj głęboko,
Młoda duszę wznos wysoko
I za celem goń!”

Jak wiele myśli kryje się w tem krótkim i bardzo prostym zdaniu!

Jak dalekie ono jest od zażyłości niemieckiej i pustoty francuskiej!

Warto naprawdę przeprowadzić bliższą analizę myśli zawartej w tem powiedzeniu, warto tę myśl zrozumieć i wcielić w życie.

Jakiż jest jej sens najgłębszy? Jaka jej istotna wartość?

„Patrz daleko!” — W tem powiedzeniu, uczy nas poeta, byśmy starali się o rozwój naszego intelektu, o rozszerzenie naszego horyzontu myślowego, o zdobycie wiedzy. W tych sło-

wach każe nam wyrzec się drobiazgowości i umieć wznieść duszę ponad szarżyznę codziennego życia. Tu każe nam na wzór orłów, szybować w dal nieznaną, a tajemną, a nie ograniczać swych zainteresowań do wąskiego zasięgu.

„Czuj głęboko!” — Zaprawdę powiedzenie to jest unikatem.

W tych krótkich słowach nawołuje autor, byśmy nie marnowali skarbów serca, by nie być powierzchownym, by nie ujmować życia powierzchownie, lekko, by każdy z nas starał się pojąć jego zawity sens.

To powiedzenie nie ustępuje mickiewiczowskiemu: „Miej serce i patrzaj w serce”.

„Młoda duszę wznosz wysoko!” — Tu poucza nas o rzeczach naprawdę wzniosłych i godnych zastosowania w życiu. W tych paru słowach każe nam autor porzucić i wzgardzić tem, co podłe, przyziemne i niskie. Tu każe nam wznieść duszę w krainę ideału, a zapomnieć o szarżyznie, tu każe nam być ludźmi, a pozbyć się naszych zwierzęcych instynktów i skłonności, tu wreszcie wskazuje nam prawdziwą i jasną drogę do wewnętrzznego zadowolenia, do szczęścia. Z tego krótkiego powiedzenia można wydedukować istotny sens życia.

„I za celem goń!” — W tem ostatnim powiedzeniu kryje się bodaj najbardziej istotny i zasadniczy warunek naszego szczęścia. Wszak wiemy, że najbardziej nieszczęśliwym w życiu jest ten, kto nie ma celu. Brak tego celu w życiu był bardzo często u wielu ludzi powodem samobójstwa.

Od tego właśnie swem krótkim powiedzeniem chce nas uwolnić autor wiersza. Lecz twierdzić, że autor chce nas tylko odstraszyć od samobójstwa, od słabości, byłoby dowodem niezrozumienia tej myśli, dowodem płytkości ujęcia. Autor w tych krótkich słowach przemawia do duszy czytelnika w sposób dwojaki: negatywnie i pozytywnie.

Ten przed chwilą omówiony cel był celem negatywnym, który nie jest najlepszym, gdy chodzi o trafienie do duszy człowieka.

Cel drugi pozytywny można ująć i zamknąć mniej więcej w te słowa: jeśli chcesz być silnym i nie ulec w walce życiowej, to musisz postawić sobie cel i dążyć do niego wytrwale i za wszelką cenę.

Jeśli chcesz być wielkim, to zawsze miej cel i dąż doń wytrwale.

Jeśli go osiągniesz, to będziesz miał poczucie siły i wewnętrzne zadowolenie, a jeśli, nawet nie uda ci się go zrealizować, to ta twoja porażka może cię pobudzić do tem bardziej intensywnej i owocnej pracy.

Wszak wiemy, że zdaniem Sokratesa, „największa nasza zasługa polega nie na tem, by nigdy nie upaść, lecz by się podnieść, gdyśmy upadli”.

Nawet po tak pobieżnem przejrzeniu treści tego powiedzenia, widzimy całą jego głębie i wiecznotrwałą aktualność, bo wszak to co autor powiedział, jest prawda, a prawda, jak drogi, a prawdziwy kamień, nigdy nie starzeje się i nigdy nie ginie.

Zaprawdę godna podziwu jest znajomość duszy młodzieży, którą posiada Ks. Dyrektor. Na sztandarze naszym wypisał nie jakiś szumny frazes, nie oklepane powiedzenie, nie jakiś mądrością naszpikowany zwrot, ale krótkie, jasne i wprost do serca przemawiające powiedzenie.

Musimy być dumni, że nasz Dyrektor jest tak głębokim psy-

chologiem, a z drugiej strony musimy się starać wcielić to piękne hasło w życie, wyryć je głęboko w naszych sercach i umysłach i starać się o to, by to powiedzenie nie zostało tylko powiedzeniem. Niech ten przepiękny zwrot będzie pochodnią, oświecającą mroki naszej nieznaney przeszłości.

Paweł Tarnawa-Malkiewicz.

CZŁOWIEK A PRACA.

Wiek dwudziesty, a zwłaszcza ostatnie dziesięciolecie, można nazwać czasami wyęžonej pracy. Zarówno na terenie międzynarodowym, jak w poszczególnych państwach ogromne postępy poczyniła ustawodawcza ochrona oraz techniczno-naukowa organizacja pracy. Sytuacja pracownika uległa radykalnej zmianie. Wystarczy przejrzeć, choćby pobieżnie, biuletyny międzynarodowych biur pracy oraz zeszyty „Dziennika Ustaw”, aby się przekonać, ile wysiłku intelektualnego włożono w dziedzinie prawodawstwa i naukowej organizacji pracy.

A jednak jaki jest stosunek człowieka do pracy? W dalszym ciągu uważa się ją za środek zdobycia egzystencji, za smutną konieczność, i niemal za przekleństwo rodzaju ludzkiego. Gdyby można było przeprowadzić ankietę na temat: czy jesteś zadowolony ze swej pracy? odpowiedzi wypadłyby niewąt-

pliwie w większości negatywne.

To fałszywe, w tej czy innej formie, pojęcie o pracy ludzkiej istnieje od wieków. W starożytności była ona w pogardzie, jako udział niemal wyłączny hebotów i niewolników. Filozofowie: Sokrates, Platon, stoicy urabiali opinię niekorzystną dla pracy fizycznej. Również najlepszy stosunek człowieka do pracy widzimy w średniowieczu, kiedy szlachcic zdobywa wpływ i przewagę nad mieszczańinem i chłopem, który musi odtąd pracować na pana. W czasach nowożytnych naskutek wynalazków zaczyna rozwijać się wielki przemysł, który stwarza nową warstwę społeczną — robotnika fabrycznego.

W początkach rozwoju przemysłu los robotnika był opłakany, z braku bowiem ulepszeń fabrycznych był on zmuszony pracować w warunkach niehigienicznych, co również skracalo jego życie. Przytem praca

jego nie była odpowiednio wynagradzana. To krytyczne położenie robotnika wywołało kwestę socjalną, która od tego czasu jest jedną z najtrudniejszych do rozwiązania. W obronie nieszczęsnego robotnika stają pisarze socjalistyczni, pomimo to jednak sytuacja jego do dziś dnia niewiele się zmieniła na lepsze.

Dzisiejsza „amerykanizacja” mechanizuje pracę, co również ujemnie odbija się na człowieku i skutkiem czego wielu obywateli Ameryki, gdzie właśnie widzimy niezmiernie tempo i napężenie pracy, nie dożywa późnej starości. Pomimo to jednak w Nowym Świecie panuje ciągle wyścig pracy, pracy rozumnej i celowej. Nikt tam nie pogardza jakimkolwiek warsztatem, czego np. u nas pomimo wszystko nie widzimy.

W Polsce niektóre warsztaty są nieodpowiednio traktowane, a nawet pogardzane. Żeby walczyć z tym fałszywym pojęciem pracy, należy zwrócić większą uwagę na młodzież. Zmiany stosunku człowieka do pracy może dokonać młode pokolenie. Stare pokolenie wywalczyło wolność Ojczyzny, naszym zaś celem jest ugruntować ją przez pracę na wieki i postawić Polskę w rzędzie mocarstw świata. Trzeba, żeby młodzież, zależnie od uzdolnienia, dobrowolnie wybierała sobie zawód i z zamiłowaniem pracowała w obra-

nym fachu. Dopóki człowiek będzie uważać pracę za przykrą konieczność, dopóki jak najprędzej będzie się starał jej pozbyć, dopóty społeczeństwo nie osiągnie pożądanego szczęścia i dobrobytu.

Praca dla Ojczyzny przynosi dobrobyt i zadowolenie obywatelowi, praca egoistyczna natomiast nie zapewnia szczęścia jednostce lub grupie, lecz przyczynia się do upadku państwa, czego przykładem może być egoizm klasowy szlachecki i indywidualno-arystokratyczny w Polsce przedrozbiorowej.

Hasło uspołecznienia pracy nie zyskało u nas jeszcze należytego zrozumienia, to też trudno nam rywalizować z państwami Zachodu na polu gospodarczym.

Musimy jednak wyzbyć się skorupy własnych interesów, a pracować zbiorowo dla dobra publicznego.

Miłość Ojczyzny wykażemy tylko przez chętną pracę dla niej. A praca ta rozpoczyna się już na ławie szkolnej przez zdobywanie wiedzy i kształcenie charakteru, na których opiera się przyszła działalność obywatelska. Hasłem naszym niech będą przepiękne słowa Marszałka Piłsudskiego: „Idą czasy, których znamieniem jest wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi”.



STANOWISKO KOBIETY WOBEC ALKOHOLIZMU.

Alkoholizm jest ogólną klęską społeczeństwa, która, napotykać słaby opór, wzmaga się.

Z alkoholizmem związane są najwidoczniej krzywdy kobiece. Pomimo to stanowisko ogółu kobiet w tej sprawie jest bierne. Gdyby one chciały przeciwstawić się złu, którego ofiarą bardzo często same padają — wytworzyłyby opozycję, która przyczyniłaby się do poprawienia ich doli. Kobieta Polka powinna czynnie wystąpić przeciwko panoszeniu się alkoholizmu, biorąc za wzór Amerykanki, które w tym wypadku zajęły zupełnie zdecydowane stanowisko. Jeśli kobiety uważają, że siły ich są za słabe do walki z alkoholizmem, muszą w takim razie zrzeszyć się ze społeczeństwem, ofiarując na jego usługi swe siły.

Przy dobrych chęciach, pogłębianych usilną gromadną pracą — można dokonać wielkich rzeczy!

Kobieta powinna głębiej za stanowić się nad obowiązkiem, jaki na nią spadł, przygotowując młode pokolenie do życia społecznego.

Jako gospodyni może rozpocząć walkę, usuwając alkohol z domu rodzinnego, oraz zaszczepiając w dziecięce duszyczki nienawiść do tego trunku.

My, jako przyszłe matki, powinniśmy już przyspasabiać się do tej walki i poznać środki, któremi będziemy mogły zwalczać jad, zatruwający nasze społeczeństwo.

Korzystając z tego, że na terenie naszego gimnazjum istnieje Kółko Abstynenckie, możemy już teraz rozwinąć działanie w tej dziedzinie.

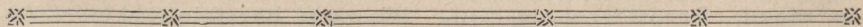
Przełom tego zła sam nie nastąpi. Należy obudzić uspijoną w nas dobrą wolę, wysiłek i przejść ze stanu odrętwienia w czynne działanie.

Kobieta powinna stanąć w obronie dziecka — przyszłego narodu!

Uczynić to możemy, wstępując w szeregi członkiń naszego Kółka, oraz przez wzbudzenie zainteresowania w tym kierunku.

Niechże hasłem każdej kobiety będzie: „Precz z alkoholem!“

J. Rybińska. kl. VII.



NAWRÓCENIE.

Miasto już spało. Puste prawie ulice mało rozświetlały latarnie. Głęboki rozgwieżdżony granat niebios siał blade promienie księżycowe, które gubiły się i blade wstydliwie jeszcze bardziej wśród smukłych

miejskich latarni. W świętej zadumie drzemał kościół, zapatrżony w swą tajemniczą głęb. Milczała wzniosła dzwonnica. Ciemność... Cisza... i tylko chwiejne drganie płomyka przed wielkim ołtarzem.

Nagle... szmer... jakiś... zgrzyt... Gwałtownie, z oburzeniem drgał płomyk przed ołtarzem. Echo płochliwie wybiegło z zakrystji, obiecało wszystkie najmniejsze zakątki z coraz to śmielszym wołaniem, skoczyło wyżej na chór, ku witrażowym oknom i skonowało gdzieś pod kopułą.

A w zakrystji rzeczy dziwne się działy.

Pora tak niezwykła! Któż może wchodzić? A jednak tak, ktoś najwyraźniej wkłada klucz do zamku, porusza klamką.

Wszedł. Ciemność.

Jakaś postać porusza się w mroku. Wtem... smuga jaskrawego światła spłynęła od pulpitu.

„Kto to?!” Łekiem wionął niedosłyszalny szept kątów.

A człowiek rozejrzał się. Z pod krzaczastych brwi ponuro błysnęły dzikie oczy. Zniszczone ubranie pokrywało barczystą postać o szerokich, ostrych ruchach. „Zbrodniarz!”—znów wionął lekiem niedosłyszalny szept kątów.

Człowiek, ze stojącej pod oknem komody, począł wysuwać szuflady jedną po drugiej. Złote kielichy, pateny, puszki nikły w brudnej zszarganej torbie; drogie kamienie z monstracji, wyrwane bezlitośnie, podążyły za niemi. Pozostały szaty liturgiczne, nie przedstawiające dla świętokradcy żadnej wartości.

Ze zgrozą, z nabożnym strachem patrzyli ze ścian święci, zda się piersi ich podnosiły się łkaniem. Lecz zbrodniarzowi mało było tego. Rozejrzał się i nagle wzrok jego padł na duży mahaniowy krucyfiks okuty srebrem z Jezusem z kości słonio-

wej. Zabłysły mu oczy pożądlivością, szpony palców wyciągnęły się chciwie. Już... już dotknie plugawą dłonią cudownego krzyża! Już go prawie ima!.. Aż... ręka ta nagle opada bezwładnie, oczy rozszerzają się panicznym strachem, całem ciałem człowieka wstrząsa dziwny dreszcz. Bo oto krucyfiks poczyna rosnać, olbrzymieje coraz bardziej, aż osiągnął naturalną wielkość. Światło gaśnie, a od Męki Pańskiej bije dziwna jasność.

Zbrodniarz cofa się, cofa ciągle, aż oparty o ścianę chciałby się w nią wcisnąć, kurczy się cały, nogi mu dygoczą, odmawiają posłuszeństwa, pada ciężko na kolana i tak jakoś dziwnie mu się robi... Nie odczuwa już lęku, jakieś nieznanne, a może zapomniane tylko dawno, uczucie sączy mu się do duszy. Dobrze mu jakoś jest i patrzy, patrzy, patrzy jak zahypnotyzowany w świętą, uduchowioną twarz Jezusa. A po tej słodkiej twarzy lzy płyną ciche, a takie ciężkie, goryczą brzemienne, takie jasne! Z opadłej na ramię świętej głowy sączą się szkarłatne krople krwi; z dłoni, ze stóp i boku spływają te rubinowe krople męki.

Człowiek, przed zjawiskiem klęczący, bezwolnie składa niezdarne, grube ręce, dawno odwykłe od tego ruchu. Słowa modlitwy, przez matkę kiedyś uczone, na dnie samym serca przyczajone lękliwie, zamurowane przez zbrodnie, wydobywają się mozolnie na usta, które od niepamiętnych lat kłątwy tylko znały. Ze zwrokiem wciąż utkwionym w Chrystusa podnosi

się z klęczek zbrodniarz i poczyna iść za krzyżem, który posuwa się naprzód, prowadząc go za sobą jakąś dziwną siłą.

Idą tak przez puste, ciemne ulice: znak Bożej Męki w aureoli jasnej światła i obdarty z roztrzęsionemi modlitwą wargami złoczyńca, którego oczy stały tak łagodne, jak oczy dziecka, przesiąknięte jasnością, bijącą od zjawiska.

Szli.

Ani razu nie potknął się człowiek.

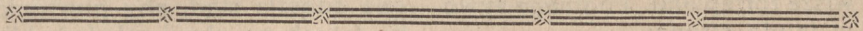
Stanęli.

W grubym murze żelazna, okuta furta. I tu nagle w tę fur-

tę wniknął krzyż, pozostawiając po sobie przez chwilę jasne refleksy. Rozpacznie rzucił się za nim człowiek, lecz zimno żelaza odepchnęło go szyderczo. Wtenczas oprzytomniał. Rozejrzał się. Stał przed klasztorem i... nagle zrozumiał. Gwałtownie pociągnął za rączkę drewnianą, w murze ukrytą. Odpowiedział mu w głębi jęklivy głos dzwonka. Za chwilę uchyliło się małe okienko w furcie, wyjrzała surowa twarz mnicha.

Kilka słów, a potem ciężkie drzwi zgrzytnęły za złoczyńcą. Poszedł czynić pokutę.

Wa—Wo.



WSPOMNIENIE.

Wspomnienie—to sen. Wspomnienie—to dawna rzeczywistość, to lot w błękitną, wsteczną dal.

* * *

Nikła, samotna postać, wtulona w kąć ogrodowej ławki. Cicho szmerzą powiędłe liście u stóp. Jesienny wiatr chłodny, a niebo jasne, gwiazdziste. Mrok tajemniczo pełnie i bierze w ramiona tę samotną postać.

Lucyna poruszyła się. Wstrząsnął nią nagły dreszcz zimna.

„Wracać już”—szepnęła cicho.

Wracać — iść znowu od tego, do czego tęskniła, o czem marzyła przez tyle lat. Tyle, tyle lat — piętnaście — śniła o tem, aby znów ujrzeć miejsce najszczęśliwszego okresu życia. Nareszcie doczekała upragnionego dnia. Z bijącym mocno sercem zbliżała się do dobrze jej zna-

nej, bocznej furtki ogrodowej. Wchodziła pokryjomu, nie chciała iść do dworu, tłumaczyć dlaczego tu przysłała, czego chciała, to było dla niej zbyt męczące. Weszła w długą cieniastą aleję. Zamglonym od wzruszenia wzrokiem spoglądała na stare, teraz pozłoczone przez jesień, lipy. Poznały ją. Coś gwarzyły, szeptały jej do ucha. Ona je dawniej tak dobrze rozumiała!

Wspomnienia nadbiegły niewstrzymaną falą. Nie była już trzydziestokilkuletnią kobietą, której życie nie szczędziło trosk, była znowu młodą, wesołą dziewczyną pełną ufności w przyszłość, znów miała lat osiemnaście. Zaraz wróci do bielejącego gdzieś poza drzewami, oplecionego zwojami pnących róż, dworku, bo wszakże wyszła tylko na

swą zwykłą wieczorną przechadzkę po parku. Wejdzie po szerokich kamiennych schodach na obszerny ganek, wsparty na kolumnach; dalej oszklone drzwi prowadzą do dużego przedpokoju, gdzie wiszą zbroje jej pradziadków, miecze ciężkie, krzywe karabele staropolskie. Wtem z poza przymkniętych drzwi, przez które pada jasny refleks światła, wypada olbrzymi dog; ciężkimi łapami skacze jej na ramiona i stara się miękkim, różowym jęzorem dosięgnąć roześmianej twarzyczki. Ona broni się ze śmiechem i razem wbiegają do salonu.

Na kominku trzaska wesoło ogień, ktoś cicho brząka w klawisze fortepianu. Podbiega żywo w tanitą stronę:

„Zagrać coś, mateczko” — prosi przymilnie.

Spoglądają na nią z miłością dobre, kochane oczy. Melodja zapełnia pokój. Lucyna siada skulona przed kominkiem na niedźwiedziej skórze. Słucha, słucha. Ktoś ostrożnie wsuwa się do salonu, podchodzi do niej, coś szepcze na ucho. Razem podchodzą do fortepianu, coś proszą, a potem w milczeniu, przytuleni do siebie, tańczą.

Przerwał się obraz. Teraz przed oczami jej staje, jak żywy, obraz narzeczonego. Jego śmiała, zgrabna sylwetka zamajaczyła przed nią, błysnęły zachwale stalowe źrenice pod łukami czarnych brwi. Bezwiednie wyciągnęła przed siebie ramiona, a na usta wypłynęło ledwo dosłyszalnie wymówione imię. Nie, niema nikogo. Pusto. Mrok. Wtuliła się w kąt niewielkiej ławki. Tak, nie zobaczy go już

nigdy. Pamięta. o jakże dobrze pamięta, ich wspólne wieczorne spaceru, altankę, gdzie tak często siadywali razem, aby snuć złote marzenia, tam gdzie był ich pierwszy pocałunek, najdroższa baśń, wpleciona w sny pierwszym, trwożnym uściskiem. Leczą... i to także pamięta... pożegnanie. Dziwnie wtenczas patrzyły na nią jego szare oczy, jakby przeczuwał, że już na zawsze... Tu, na tej ławeczce ostatnie chwile razem przepędzili, a potem... odszedł, by nie powrócić już więcej. Ojczyzna go zabrała.

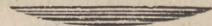
Z pod zamkniętych mocno powiek Lucyny stoczyły się wolno dwie ciężkie łzy. A potem i ona odeszła stąd, aby powrócić po latach na chwil zaledwie kilka. Trzeba było sprzedać majątek. A teraz pokrywemu jest zło dziejem swych żywych wspomnień, kradnie je z lękiem, aby jej kto nie zobaczył. Drzewa szumią cicho, witają ją zapewne, szepczą jej dalsze obrazy przeszłości. Ona musi już iść, znowu iść, by nie wrócić już może nigdy. Szemrzą żółkłe liście u stóp. „Jesień mego szczęścia — szepce Lucyna — jam taki żółkły liść”.

Idzie powoli przez lipową aleję. Musi wracać. Trawy oplatają jej nogi, krzewy czepiają się ubrania.

„Powróć, powróć! Znowu będziesz tu biegać, znowu śmiać się beztrosko jak dawniej!”

To wspomnienie... To sen...

Wa—Wo.



ERECHTEJON.

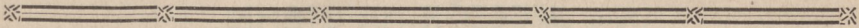
Erechtejonu posągi surowe
Dumnie swe z cierniów wystawiają czoła;
Zda się, świątynia dawne czasy woła,
Ich chwałą wsparta, zacznie życie nowe.

I cienie straszą, rozwlekłe dokoła,
Świeci Ateny oblicze śpiżowe,
Zdała w wędrowcu lęk obudzić zdoła,
By przed przeszłości cieniem skłonił głowę.

Dumna bogini stoi dzierżąc grot,
Lecz zdawna kapłan jej zwycięstw nie głosi
I nie ocieka z lic pielgrzymy pot.

Węgłe wystygły i dym się nie wznosi —
Smierć!... Nic nie wskrzesi i Jowisza grzmot,
Gdy tam się świeża krew ofiar nie rosi.

Stefan Hul—Vb.



SAMOTNY GRÓB ŻOŁNIERZA.

Cicho i smutno na jednej mogile,
Tylko wiatr szumi i piosenek tyle
Nuci tu słowik w wieczornej godzinie
I tylko zdala odgłos życia płynie.

Brzoza płacząca gałązki swe kloni
I na mogiłę rosę jak łzy roni,
Słonko ją stroi w zachodu purpury,
Kiedy strudzone chowa się za chmury.

A ziemia stroi mogiłę w bławatki,
W trawę zieloną i tęczowe kwiatki,
Wietrzyk kołysze purpurowe maki,
Krwi tu przelanej—niezatarte znaki...

Irena Dyiewska—kl. Va.

ZNASZ ŻYCIA CEL.

Znasz życia cel, więc naprzód dąż,
 Nie marnuj sił młodości,
 Apatję zrzuć, a śmiało wciąż
 Postępuj w wytrwałości.

Bo idzie czas życiowych prób,
 Co spiętrzą się jak skały,
 Zwycięży moc, a padnie trup,
 Kto duchem był za mały.

Więc teraz roznieć święty znicz,
 Na przyszłość nieć zapalę:
 Nie zniszczy cię ten życia bicz
 I doznasz szczęścia, chwały.

S. Kolesiński

WIECZÓR NA STEPIE.

Na zachodzie zorza słońca
 Jasnym blaskiem z nieba płynie,
 A wokoło step bez końca,
 Zda się, w dali hen, gdzieś ginie.

Wiatr wieczorny musnął włosy,
 Zaszumiały smutne zioła,
 Milkną zwolna dzienne głosy,
 Cisza ściele się dokoła.

Tylko tam gdzieś w mrocznym jarze
 Szemrze głucho wartka rzeka,
 A gdzie okiem tylko rzucisz:
 —Ni drzewiny, ni człowieka...

Drzemie wkoło step już głuchy,
 Błady księżyc patrzy zgóry,
 Nad trawami mgliste chmury,
 A z kurhanów wstają duchy...

S. Kolesiński kl. VII.

WESOŁY KĄCIK.

DO ALBUMU KOLEŻANKI.

Jeżeli masz szesnaście lat,
Bój się miłości jak cholery!
Jak skarb ceń młodość, życia kwiat,
W oczekiwaniu lepszej ery.
Kiedy dwadzieścia skończysz lat,
Tańcz, baw się, w uciech leć objęcie,
Lecz, choć cię zmami złudzeń świat,
Przeciw miłości stój zawzięcie.
Gdy ci trzydzieści stuknie lat,
Wróż z kart, graj w szachy i domino,
Ale miłości każdy ślad
Odstraszaj chłodem i złą miną.
Gdy do czterdziestu dojdiesz lat,
Daleka droga ci została—
Mów wszystkim chłopcom w jeden ład,
Żeś do miłości nie dojrzała.
Lecz gdy dziesiątków skończysz pięć,
To, starszy pierwszy ślad starzyzny,
Ucz się flirtować, oczkiem kręć,
I w serce wkradaj się mężczyzny.
Aż gdy dziesiątków miniesz sześć,
Idź ku miłości prostą drogą,
Bo tylko starzy—głosi wieść—
Prawdziwie czuć i kochać mogą.

NOWY BIGOS LITERACKI

Paweł i Gawęł w jednym stali domu,
Paweł na górze, a Gawęł na dole;
Paweł spokojny nie wadził nikomu,
Gawęł najdziksze wyprawiał swawole.

A że był bardzo grzeczny, rozkoszny i miły,
Bardzo go tam zwierzęta lubiły.

I wiódł ślepy kulawego, dobrze im się działo,
Ale że to ślepemu nieznośnem się zdało,
Iż musiał zawsze słuchać, co kulawy prawi,
Wziął kij i rzecze:

„Ty pójdiesz górą, ty pójdiesz górą,
 A ja doliną,
 Ty zakwitniesz różą, ty zakwitniesz różą
 A ja kaliną!”

A potem umilkł nagle... O jakże odmienny
 Od mårzącego dziecka! Poblądł, jego oczy
 Obląkane jak dawniej, lecz

Sroga to postać: kręcone wąsiska,
 Wzrok dziki, suknia plugawa,
 Noże za pasem, miecz u boku błyska,
 A w ręku ogromna buława.

Tymczasem podły Tadeuszek
 Nałapał we flaszkę muszek,
 A nie chcąc ich morzyć głodem,
 Ponarzucał chleba z miodem.

Rybki to spostrzegły,
 Do bułki się zbiegły,
 A jedna z nich, śmielszej natury,
 Wystawiwszy łeb do góry,

Rzecz:

„Kobieto, puchu marny! Ty jesteś jak zdrowie,
 Ile cię trzeba cenić ten tylko się dowie,
 Kto pod kim dołki kopie i kto z kim przestaje”.

Umilknął starzec i ciekawie słucha
 Czy Niemcy dalej pozwolą mu śpiewać,
 Dokoła była tylko cichość głucha
 Ta zwykła wieszczów do pieśni zagrzewać,

Zaczął więc piosnkę ale innej treści
 I z hymnu schodził do prostej powieści:

Był sobie dziad i baba
 Bardzo starzy oboje;
 Ona kaszląca i słaba
 On skręcony we troje.

Maleńkie dziecko pieściła mu żona,
 Prócz tego dziecka trzy córki,

Trzech synów,

Tęgich jak sam Litwinów,
 Na dziedziniec przyzywa i rzecz:

„I wy mnie pytacie z pijanym hałasem,
 Co znaczy ten kindżał zatknięty za pasem?!
 Ha, dobrzel—słuchajciel...”

Tu przerwał, lecz róg trzymał—wszystkim się
 [zdawało,
 Że Wojski gra wciąż jeszcze, a to...

Paweł siedzi na komodzie.

„Cóż waćpan robisz?” — „Ryby sobie łowią!”

„Ależ, waćpanie, mnie kapie po głowie!”

A na to Telimena: „Panowie, jak widzę,
Chcecie zostać w pokoju, ja idę na rydze;
Kto łaska, proszę za mną”...

(Ciąg dalszy niech czuły słuchacz w duszy swej
dośpiewa).

A. B.

R E C E N Z J E.

PROF. Dr. TADEUSZ ZIELIŃSKI:
ŚWIAT ANTYCZNY A MY.

Dzieło to składa się z ośmiu wykładów, wygłoszonych w Petersburgu w 1901 r., wydanych zaś w r. 1922, t. zn. w wieku młodzieńczym szkoły polskiej. Autor przestrzega, iż szkoła klasyczna powinna istnieć, że wykształcenie klasyczne jest konieczne.

Prof. Zieliński zwalcza gimnazjum, dające wykształcenie fachowe, (projektowano utworzyć takie), wskazując — zupełnie zresztą słusznie, że tego zadania podjąć się winny tylko szkoły zawodowe i seminarja. Dzieło można podzielić na dwie części: w pierwszej autor wykazuje gołosłowność zarzutów, stawianych przez przeciwników wykształcenia klasycznego; w drugiej przedstawia znaczenie poznania świata antycznego. W ten sposób udowadnia, iż pomimo tego, że cywilizacja nasza znacznie wyprzedziła antyczną, jesteśmy z przeszłością w stałym kontakcie; poszczególne okresy rozwoju kultury świata nowożytnego były w mniejszym lub większym stopniu zależne od starożytności i stosownie do

stopnia tej zależności miały swe charakterystyczne cechy. Autor uważa, że gdy runie podstawa naszej kultury (t. j. kultura starożytności), musi zawalić się i sama budowa, (jak wskazują dzieje kultury arabskiej).

Nauczanie języków klasycznych jest według Zielińskiego — ważnym czynnikiem w rozwoju intelektualnym, dzięki samej metodzie wykładania. Na zarzut, że szkoła klasyczna jest trudna, autor odpowiada, że łatwa szkoła — to „zbrodnia społeczeństwa”, szkoła trudna jest potrzebna dla dobra umysłowego człowieka.

Styl jasny, brak wszelkiej natuszowości, autor zostawia ją demagogom, dzięki czemu książka jest bardzo przystępna. Dyskusja jest prowadzona spokojnie i rzeczowo.

ZIELIŃSKI TADEUSZ — RELIGJA
STAROŻYTNEJ GRECJI.

Książka stanowi pierwsze ogniwo cyklu dzieł: Religja świata antycznego. Autor przeprowadził podział religii greckiej na trzy rodzaje: 1) mitologję, czyli religję poetycką; 2) religję filozoficzną i 3) obywatelską. Autor

rozpatruje tylko dwie ostatnie i to w okresie rozkwitu Aten, w okresie Peryklesa, Sofolesa i Platona. Widzimy tu właściwą religję starożytną, nie zaś powszechnie znane mity, które nie mają prawie żadnego znaczenia w tym okresie (V—IV w. prz. Chr.) Zieliński wskazuje w tem dziele na wielkie zalety religji greckiej. Pierwszą z nich jest tolerancja, niewidziana w takim stopniu nigdzie poza Grecją. Drugą, również rzadko spotykaną cechą, właściwiej może dogmatem jest ubóstwanie natury. Grek nie szukał Boga tylko w niebie, według niego Bóg jest w każdej roślince, w każdej miejscowości, życie na ziemi—to przejawienie się Boga. Stąd powstały kulty, związane z pewnemi miejscowościami. Nikt tak oprócz Greków, nie

umiłował ziemi — matki, ziemi — bogini. Wyjątku w tym wypadku nie stanowią poeci. Grecy wiedzieli, że Bóg objawia się w prawdzie, pięknie i dobru. (Podczas gdy druga cecha objawienia się Boga była i jest we wszystkich prawie religjach nieodstrzegalna).

Ciż Grecy zgadzali się, że można czcić Boga pod różnemi imionami. A jakże godne kapłanki Apollina są słowa: „Jestem kapłanką modlitw, nie klątw“.

Autor sam się przekonał i każdego chce przekonać, że religja starożytności—to prawdziwy stary testament naszego chrześcijaństwa. Po przeczytaniu tej książki nikt nie zaliczy religji greckiej do „pogańskich“ (we właściwem znaczeniu tego słowa), chyba tylko tradycyjnie.

Stefan Hul kl. Vb.

COŚ... Z KRONIKI.

Kronika—słowo tak poważne i tak dużo mówiące (prawdy!), że mnie już dreszcze przejmują na samą myśl, że się podjąłem tak odpowiedzialnej pracy. Ale co miałem robić, gdy nasz kochany Redaktor, tak nalegał i tak prosił, że ostatecznie zmięknę, jak glina po deszczu i zgodziłem się służyć swemi talentami.

A teraz... teraz siedzę nad kawałkiem papieru, wyrwanego z zeszytu do zadań domowych, pot zrosił me przystojne oblicze, dwa pióra poszły już do kosza i dwa kleksy ozdobiły

mój przyszły artykuł, który jednak w żaden sposób nie chce się wylać na papier.

— Nie, nie mogę! Rzucam pióro i mocno zdenerwowany zaczynam mierzyć krokami długość i szerokość mego skromnego apartamentu. „Na jutro ma być kronika!”—dźwięczy mi jeszcze w uszach klasyczny baryton Redaktora, który przez dwie pauzy pozbawił mnie możliwości wykucia się słówek łacińskich. „Na jutro”... „Dobrze, napewno”. „Napewno...?” „Nie wierzysz?...”. A teraz najprzeróż-

niejsze sposoby ratunku cisną mi się do mózgowicy: Nie pójść do szkoły!—niema sensu; „zapomniałem”, „zgubiłem” — zbyt oklepane. Więc co, co robić, żeby po raz nie wiem który, wykręcić się od badawczego wzroku i zapytania „Masz?... dłaczego?“. Wtem zbawienna myśl, z szybkością prezesa koła sportowego, przeleciała mi przez głowę. Chwyciłem za palto, czapkę i wyleciałem na ulicę. Było już blisko do północy, śnieg skrzypiał pod moimi stopami tak, jak skrzypią schodki łączące górne korytarze pod stopkami starych weteranów gimnazjalnych, a ja pędziłem całą parą w stronę bulwaru. Wreszcie zapukałem w okno Redaktora. Po chwili posłyszałem trzask przekręcanego kontaktu elektrycznego i „Kto tam?” — „Kronikarz!” — „A, wiem, Galus żył w XI w. niewiadomego pochodzenia, kronika jego obejmuje czasy do r. 1113 włącznie wyrecytował jednym tchem mój półprzytomny redaktor. „Co ty już z kretesem?...” „Co, co mówisz?” „Co ty gadasz?!” „Ja?” spytał oprzytomniały redaktor. „No ty, ty—rzekłem śmiejąc się na głos z jego niewyraźnej miny.—„Słuchaj, przyszedłem ci powiedzieć po koleżeńsku, że kroniki na jutro nie będziesz miał, więc szukaj innego materiału, lub zmocz sobie głowę zimną wodą i siadaj sam redagować! Słyszysz?”. W odpowiedzi posłyszałem ciche chrapanie mego zwierzchnika. Stałem chwilę bezradny, nie wiedząc co mam robić, wreszcie wyszedłem, zamknąłem drzwi na klucz, który przez otwarty lufcik wrzuciłem

do środka.

Wróciwszy przygnębiony do dumu, znalazłem nienaruszony swój arkusz papieru z dwoma kleksaini i otwarty notes z notatkami, tyczącami kroniki.

Spojrzałem — na pierwszym miejscu widniała data 14.X r.ub. z notatką: Odczyt kol. Malkiewiczza p.t. „Rzut oka na Do stojewskiego”. A dalej dwa wyrazy „de facto” i „de nomine”, których znaczenia i okoliczności, w jakich one do mego notesu wpadły, przypomnieć w żaden sposób nie mogłem.

Następnie bardzo lakoniczne wyrażenia, jak: Dyskusja jałowa. Nieznajomość zasad dysksji i t. d. i t. d.

Prawda—szepnąłem do siebie —u nas niektórzy dotychczas uważają, że dyskusja polega nie na tem, aby coś dodać do referatu, aby go jeszcze bardziej rozszerzyć, lecz na tem, by znaleźć jakiś brak w referacie, (którego zresztą i sam dyskutujący uzupełnić nie potrafi) i ozdobiwszy go najbardziej ostremi i obraźliwemi słowami, jakie mogą być wypowiedziane na sali, wytknąć prelegentowi. Czyż nie prawda?

—Dn. 24.X—czytałem dalej—kol. Ćwirko-Godycki Jerzy wygłosił referat p.t. „Radjofonja w Polsce”. Odczytowi temu można by było zarzucić, że był ujęty zbyt fachowo i dlatego młodsi, a i starsi laicy nie wszystko zrozumieli.

— Dn. 28.X przy stoliku preleganta stanęła kol. Rybińska i wygłosiła odczyt aktualny p. t. „Wpływ alkoholu na ciało i duszę człowieka”. Muszę dodać, że odczyt ten bardzo dodatnio

wpłynął na słuchaczy. a nawet na tych, którzy go nie słyszeli, albowiem Koło Abstynenckie dostawało coraz to nowe zgłoszenia, aż do ostatniego dnia przed wyborami zarządu i przyjmowało tych „nieabstynentów” na swe łono, ba, nawet darzyło ich nieograniczonym zaufaniem. Za co?... kronika nie wie.

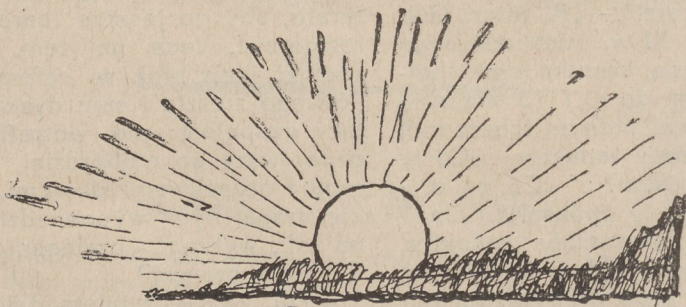
— Dn. 10.XI akademja ku uczczeniu 15-tolecia Odzyskania Niepodległości. Program był bardzo urozmaicony i ciekawy. To też publiczność nie szczędziła gorących oklasków.

— Dn. 11.XI odczyt kol. Hula p.t. „Z życia żaków krakowskich”. Wreszcie — choinka w gimnazjum. Na szczególną uwagę zasługuje drzewko, przybra-

ne bardzo artystycznie i pomysłowo(?)—w wate śnieżnej białości(?) i świece. Muszę jednak dodać, że uczniowie naszego zakładu nie poznali się na tem arcydziele. Zabawa udała się świetnie. Bufet był obfity i smakowity, a co najważniejsze, obsługiwany przez tak liczną brygadę gospodyń, że w polowie zabawy stoły były już doszczętnie opróżnione. Czyja w tem była większa zasługa—czy gospodyń, czy gości—nie wiemy.

Niech się jutro poci mój Redaktor—pomyślałem z litością, skończywszy czytać. Dla mnie zaś jest to ostatnia próba zdobycia karjery dziennikarskiej.

S. 220.



Redaktor główny i wydawca:
Stanisław Kolesiński.

Redaktor odpowiedzialny:
prof. Stanisław Kunc.

P-04485



„Drukarnia Polska” M. Dubrowskiego, Nieśwież.

